

Kazimierz Kuratowski (2 II 1896 — 18 VI 1980)

W czerwcu mija kolejna rocznica śmierci Profesora Kazimierza Kuratowskiego — ważnej postaci „Polskiej Szkoły Matematycznej” i „Warszawskiej Szkoły Matematycznej”, matematyka o sławie światowej, ściśle związanego z naszym Wydziałem. Był studentem UW w latach 1915–18, tu się doktoryzował i habilitował. Tu też wykładał — najpierw do roku 1927, kiedy to objął jedną z katedr matematyki na Politechnice Lwowskiej. Po powrocie ze Lwowa, od roku 1934, kierował kolejno kilkoma katedrami matematycznymi na UW (z wojenną przerwą), w tym przez kilkanaście lat — aż do emerytury w 1967 roku — Katedrą Topologii. Po wojnie przyczynił się istotnie do odbudowy Matematyki Polskiej i studiów matematycznych na UW. Wykładał na naszym Wydziale do emerytury.

Uczeń profesora i nasz wydziałowy kolega prof. Ryszard Engelking udostępnił do publikacji na stronach wspomnieniowych swój artykuł, napisany zaraz po śmierci Profesora dla tygodnika „Kultura” (opubl. 6 lipca 1980, Warszawa).¹ Polecamy to bardzo osobiste wspomnienie uwadze naszych czytelników — zamieszczamy je tu w całości.

*Redaktorzy stron wspomnieniowych,
Marcin Moszyński
Kuba Pochrybniak
Warszawa, maj–czerwiec 2017*

* * *

Jak to zwykle bywa z uczniem i nauczycielem, moim pierwszym osobistym kontaktem z profesorem Kuratowskim był egzamin; wcześniej znałem go tylko z wykładów i — oczywiście — legendy. Odpowiadałem dobrze, ale w pewnej chwili nagle się zaciąłem: profesor zadał, przez pomyłkę, jak sądzę, pytanie bardzo wprawdzie łatwe, ale dotyczące częściowo materiału, który miał być wykładany dopiero w następnym semestrze. Chyba zorientował się zaraz w nieporozumieniu, ale nie wycofał się, czekał. Po namyśle udało mi się poprawnie odpowiedzieć. Profesor wyraźnie ucieszył się — ta jego szczerą radość, ten ciepły uśmiech zdecydowały o całej mojej naukowej przyszłości. Zostałem topologiem.

Później był jeszcze drugi egzamin, z którego nic nie pamiętam, i dwa lata seminarium z topologii prowadzonego przez profesorów Kuratowskiego i Borsuka, na które polecono mi uczęszczać i z którego właśnie przez te dwa lata niczego nie rozumiałem. Wreszcie w 1956 roku dostałem temat pracy magisterskiej. Zrobiłem, co do mnie należało, ale miałem ponadto szczęście rozwiązać „prawdziwy” problem profesora, pytanie, które postawił w jakimś czasopiśmie. Zreferowałem dość niezdarnie swoje rozwiązanie na seminarium. Profesor był zadowolony.

Jeszcze coś mi się wtedy zdarzyło: w jednej z marginesowych prac profesora, pisanej na okolicznościowe zamówienie, znalazłem błąd. Profesor zajmował się tam sytuacją nieco ogólniejszą od zbadanej w jego wcześniejszych pracach i wyliczał szereg faktów, które pozostają prawdziwe w tej nowej sytuacji; ja w pracy magisterskiej miałem właśnie podać ich dowody. Otóż jeden z wyliczonych faktów nie dawał się uogólnić, można to było wykazać zmieniając trochę pewien przykład podany kiedyś w innym celu przez Sierpińskiego. Wszystko to opisałem w swojej pracy.

W dwa tygodnie po moim referacie na seminarium profesor zaprosił mnie do siebie do domu i wręczył mi kilkanaście kartek zapisanych jego ładnym, wyraźnym, lekko pochyłym pismem; były podzielone na dwie części, spięte dwoma spinaczami. Pierwsza część zawierała

¹ Artykuł ten był także przedrukowany jako dodatek zamykający wydaną pośmiertnie książkę Kazimierza Kuratowskiego „Notatki do Autobiografii”, Czytelnik - Warszawa 1981.

idealnie zredagowane rozwiązanie problemu, o którym mówiłem na seminarium, druga zaczynała się od słów: „Wbrew temu, co twierdzi Kuratowski w pracy...”

„Myślę, że powinien pan to opublikować w takiej formie” – powiedział. Trzeba dodać, że był to jedyny błąd, jaki kiedykolwiek znalazłem w pracach profesora, nie licząc oczywiście błędów drukarskich, a ten – jak to zrozumiałem nieco później – był kalibru najwyżej pięciu błędów drukarskich.

W czasie studiów słuchałem wykładów profesora Kuratowskiego z topologii, potem, po magisterium, paru bardziej specjalistycznych wykładów monograficznych. Był znakomitym wykładowcą: mówił oszczędnie, precyzyjnie; celnie; ładnie pisał, świetnie gospodarował tablicą, zawsze wiedział, co może zetrzeć, a czego jeszcze będzie potrzebował. Mówiło się, że jego wykłady można drukować bez zmiany jednego słowa. Zawsze używał notatek: przynosił plik karteczek niewielkiego formatu, do których z rzadka zaglądał. Później często czytałem takie karteczki, dawał mi je po swoich odczytach na seminarium (mówił: ktoś to musi sprawdzić przed drukiem, ja, proszę pana, zaczynam się już mylić); dowiedziałem się wtedy, że każdy jego wykład był przygotowany na piśmie od początku do końca – dlatego nadawał się do druku.

Potrafił improwizować, w małym gronie robił to doskonale, ale kiedy wykladał, czuł odpowiedzialność za czas słuchaczy; i uczył ich, uczył pięknego stylu i kultury wykładu. Niekiedy zamiast karteczek używał korekt swoich książek.

W końcu lat pięćdziesiątych prowadził niezwykle aktywną działalność organizacyjną na stanowisku wiceprezesa PAN i dyrektora Instytutu Matematycznego, był stale bardzo zajęty. Słuchałem wtedy jego wykładów z teorii wymiaru; nie opuszczał ich nigdy, ale czasami zaczynał z opóźnieniem.² Do Instytutu przychodził punktualnie, zawsze miał idealnie zorganizowany czas, ale zamykał się w swoim gabinecie i najwyraźniej przygotowywał wykład; trzeba dodać, że był jednym z najwybitniejszych znawców tej teorii i w pewnym stopniu jej twórcą.

Wreszcie przychodził do nas. Zdarzało się, że nie zdążył przygotować materiału na całą godzinę. Zaczynał wtedy od „przypomnienia tego, o czym mówiliśmy poprzednio” albo kończył „szkicem tego, o czym będziemy mówili później”. Za żadną cenę nie dopuściłby do tego, żeby zaplątać się w rozumowaniu, żeby powiedzieć jakiś dowód trochę gorzej niż doskonale. Któregoś dnia, kiedy przyszła kolej na długie i trudne rozważania, których nie zdążył sobie w całości przypomnieć, wykład składał się z dwóch części: „przypomnienia” i „szkicu”... Bawiliśmy się tym, ale również korzystaliśmy, bo takie nieformalne mówienie o matematyce – wydobywanie głównych idei, opis architektury teorii – jest dla słuchaczy nadzwyczaj cenne, niewielu wykładowców może sobie na to pozwolić.

Ten bardzo zajęty i niezwykle aktywny człowiek był jednocześnie przystępny i ujmująco uprzejmy w stosunkach z ludźmi. Za moich lat asystenckich miał groźną sekretarkę, której wszyscy się trochę bali i która nie lubiła wpuszczać do profesora byle kogo. Po jej niechętnym przyzwoleniu otwierały się obite brązową ceratą drzwi, za którymi siedział uśmiechnięty starszy pan o śniadej twarzy, z charakterystycznym siwym pasmem przebiegającym przez środek gładkich, czarnych włosów.

Robił wrażenie, jakby rozmowa z trochę bełkocącym z przejęcia kandydatem na matematyka była dla niego największą przyjemnością, prawdziwym wytchnieniem po różnych nieciekawych zajęciach. Zawsze miał na biurku długie, wąskie paski papieru; spoglądał na nie, sprawdzał, czy powiedział mi wszystko co należało, i zapisywał sprawy do załatwienia,

² Wykłady kursowe Kazimierza Kuratowskiego odbywały się na naszym Wydziale. W „czasach Pałacu Kultury” Profesor miał też na Wydziale swój gabinet. SeminaRIA zaś i wykłady monograficzne były prowadzone w IMPAN-ie (przyp. red.).

które wypłynęły w czasie naszej rozmowy; miał piękne, wypiełgnowane ręce. Czasami, kiedy wszystko już zostało powiedziane, a ja, zafascynowany, ciągle czekałem, czy coś jeszcze nie nastąpi, dyskretnie spoglądał na zegarek. Jego umiejętność organizowania własnego czasu i pracy była imponująca. Nie pamiętam, żeby kiedykolwiek zdarzyło mu się coś zarzucić, czegoś zapomnieć, nie dotrzymać obiecanego terminu. Swoich uczniów puszczał bardzo szybko „na głęboką wodę”, ale bacznie śledził ich losy. Polecał lektury, przynosił do czytania odbitki prac matematycznych, maszynopisy, listy naukowe, które przychodziły do niego z całego świata; troszczył się zawsze o ich warunki życia. Później pomagał w wyjazdach zagranicznych. Dopytywał się często o wyniki badań, zachęcał, sugerował, podnosił na duchu. Nie udzielał nauk, nie ganił; czasami wypowiadał sentencje: „Każda praca powinna być napisana kilka razy” albo „Największą radością matematyka są sukcesy jego uczniów”.

Cały mój rozwój naukowy i całe moje dojrzewanie jako człowieka przebiegały w stałym odniesieniu do niego. Jestem przekonany, że podobnie było z wieloma innymi matematykami, i nie tylko z moimi rówieśnikami. Wszystkie jego uczynki, słowa, gesty miały jakąś doniosłość, nie umiał robić rzeczy bez znaczenia. Zdarzało się czasami, że czegoś w nim nie mogłem zaakceptować, ale nawet wtedy było to ważną nauką. Nigdy zresztą nie miał pretensji, jeśli miałem odmienne zdanie albo robiłem coś inaczej; nie dotyczyło to oczywiście poleceń służbowych, które w jego uprzejmym języku nazywały się „prośbami”.

Jego język — to zresztą całkiem osobny rozdział, trzeba się go było uczyć. O nikim, kogo znaliśmy obaj, nie powiedział nigdy złego słowa. Kiedy rozmawialiśmy o jakimś matematyku, którego średnio cenił, używał zwrotu „dobry matematyk”. Z początku gubiłem się w tym, ale zauważyłem, że w takich sytuacjach jego ciemne oczy patrzą na mnie badawczo, jakby coś sprawdzając. Potem zrozumiałem, że matematycy dzielą się na dobrych, doskonałych i świetnych, innych nie było.

Kiedy, jako dyrektor Instytutu, zdecydował się usunąć z pracy kogoś, kto przez parę lat nic nie robił, powiedział: „Instytut zawiódł się na nim”. Rozmawiając z pracownikami o ich sprawach osobistych i drobnych kłopotach, nigdy nie dał nikomu odczuć, że może w końcu nie było to takie ważne — zawsze słuchał życzliwie i uważnie, zawsze starał się pomóc. Nie wyobrażam sobie, żeby mógł kogoś urazić. Tłumaczył, łagodził spory, był dla wszystkich ostateczną instancją. Był taktowny i delikatny, tak samo uprzejmy dla wszystkich, niezależnie od ich stanowiska. Zawsze był pogodny, uśmiechnięty, dowcipny.

W ludziach cenił inteligencję i kulturę; w swoim otoczeniu szanował ludzi za oddanie Instytutowi, bezinteresowność, pracowitość, nie lubił nierzetelności. Sam pracował bardzo dużo, ale trzeba go było dobrze znać, żeby to dostrzec, na pozór wszystko przychodziło mu lekko i naturalnie.

Pytałem go często o nieżyjących już znakomitych matematyków, kiedyś jego kolegów. Bardzo chętnie o nich opowiadał. Najczęściej mówił o Janiszewskim, przedwcześnie zmarłym topologu, inicjatorze założenia „Fundamenta Mathematicae” i jednym z twórców Polskiej Szkoły Matematycznej, swoim bliskim przyjacielem. Jestem głęboko przekonany, że gdyby nie ta długoletnia wierność w przyjaźni, niewiele ludzi pamiętałoby dziś nazwisko Janiszewskiego. Zachwycał się też kulturą i erudycją Hausdorffa, błyskotliwością Urysohna.

O sobie mówił niewiele, był człowiekiem nadzwyczajnej powściągliwości. Nigdy nie wspominał o kłopotach, nie wracał do trudnych okresów swojego życia. Chyba tylko dwukrotnie w rozmowach ze mną nawiązywał do swych losów wojennych. Raz w rozmowie o Hausdorffie: — Miałem jego listy — powiedział — jego, Lebesgue’a, Frécheta, wszystko się spaliło.

Drugi raz, kiedy po daremnych poszukiwaniach w bibliotekach spytałem go, czy nie ma przypadkiem odbitki jednej ze swoich starszych prac, opublikowanej w 1932 roku w Rumunii. Wyraźnie się ucieszył, że ta praca była mi potrzebna. — Miałem drugi komplet moich odbitek

pod Warszawą — powiedział — ten ocalał. — I za kilka dni przyniósł mi tę starą, wzruszającą, ocalałą odbitkę z dedykacją.

Oczywiście, można przypuścić, że ta jego powściągliwość, niechęć do mówienia o sobie, przejawiała się tylko w stosunku do uczniów, do ludzi innego pokolenia, którzy w jakimś sensie byli mu z pewnością obcy; nie sądzę jednak, że tak było. Czasami byłem świadkiem jego rozmów ze starymi przyjaciółmi, nawet spotkań, z bliskimi współpracownikami, których nie widział przez wiele lat, zawsze była w nim ta sama, trochę wstydliva, powściągliwość.

Również w drukowanych wspomnieniach wolał mówić o innych niż o sobie, a jeśli już mówił o sobie, to tylko oficjalnie, o sobie — matematyku. Wielokrotnie mówiłem mu, jak wielu z nas chciałoby wiedzieć o nim więcej, co myślał, co czuł, co przeżywał. Uśmiechał się i pytał: „Czy to naprawdę takie ważne?” Należało to chyba do tej tajemniczej sztuki życia, którą posiadał.

Raz jeden widziałem go wzruszonym. Odwiedziłem go, kiedy po zawale leżał w szpitalu. Rozmawialiśmy o przyszłości. Wiedział już, że na razie nic mu nie grozi, ale był bardzo osłabiony, nie mógł uwierzyć, że jeszcze będzie mógł chodzić, pracować; perspektywa bezczynności była dla niego nie do zniesienia — miał łzy w oczach.

Na ogół odnosił się do siebie z pewnym żartobliwym dystansem. Pokazując komuś stare zdjęcie z Międzynarodowej Konferencji Topologicznej w Moskwie w 1935 roku, na którym siedzi pełen szyku, z laseczką w ręku, komentował: „Wcale jej nie potrzebowałem, wtedy była taka moda, kto chciał być elegancki, musiał nosić laskę”. Pozostał bardzo elegancki; zawsze starannie ubrany, godny w ruchach, dyskretny w gestach, opanowany w słowach; w sposobie bycia był jednocześnie cudownie naturalny i wytworny. Wszyscy go podziwiali, niektórzy mu podobno zazdrościli, byli tacy, którzy próbowali go naśladować: kończyło się to na materiale do anegdota.

Kiedy poznałem profesora, byłem jeszcze bardzo młody i bardzo niedojrzały; czułem wtedy ogromną potrzebę, żeby zrealizowały się w nim wszystkie moje pojęcia o ludzkiej doskonałości. Miałem z tym jeden kłopot: ponieważ w szkole byłem pilnym uczniem, więc świetnie wiedziałem, że wielcy ludzie starają się unikać zaszczytów, a tymczasem profesor czuł się znakomicie jako bohater jubileuszów i innych uroczystości i z wyraźną przyjemnością przyjmował wyrazy uznania, których mu zresztą nie szczędzono.

Z czasem zacząłem to rozumieć. Wierzył głęboko, że obrzędy i tradycje budują wspólnotę, wzmacniają związki między ludźmi, mogą stać się bodźcem dla nowych dokonań. Wiedział zresztą, że w opinii publicznej jest ucieleśnieniem Polskiej Szkoły Matematycznej; przyjął tę odpowiedzialność ze wszystkimi konsekwencjami. Znajdował też w tym chyba jakieś potwierdzenie samego siebie. Zawsze byłem trochę zaskoczony, kiedy, po rozmaitych oficjalnych wystąpieniach, on — znakomity mówca — z uśmiechem zadowolenia przyjmował od słuchaczy pochwały i gratulacje, truizmy, których nigdy nie ośmieliłbym się wypowiedzieć.

Przemawiał kiedyś za granicą, przed zupełnie nic znanym mu audytorium, w którym się przypadkiem znalazłem. Mówił o powstaniu Polskiej Szkoły Matematycznej, o „Fundamentach”, o swoich serdecznych przyjaciółach; mówił porywająco. Dostał ogromne brawa, ale jakoś nikt do niego nie podszedł i nie wypowiedział tej zwykłej grzecznościowej formuły; organizatorzy byli zajęci przygotowaniami do kolacji na jego cześć. Szliśmy we dwójkę długim korytarzem i profesor nagle zapytał: — No, jak pan sądzi, jak to wypadło? — Olśniło mnie nagle, że on naprawdę *n i e w i e*, nie jest pewien, czy nawiązał kontakt ze słuchaczami.

Tego wieczora zadałem mu jedno z nielicznych osobistych pytań, na jakie się odważyłem przez dwadzieścia pięć lat naszej znajomości: — Czy pan profesor ma czasami tremę przed wykładem? — Spojrzał zdziwiony. — Tremę? Zawsze. Przecież na wykładzie, na odczycie, je-

steśmy trochę aktorami. — Odtąd traktuję nieufnie tych, co wykładają i przemawiają „bez najmniejszej tremy”.

Był niezmiernie popularny i szanowany przez matematyków na całym świecie. Znali go wszyscy, głównie dzięki jego znakomitej monografii. Topolodzy moskiewscy, uczniowie jego wielkiego przyjaciela Pawła Siergiejewicza Aleksandrowa, nazywali go Kazimir Markowicz, bez nazwiska, tak jak nazywali swoich mistrzów; chyba żadnego innego matematyka zagranicznego nie obdarzali tym dowodem szacunku i sympatii.

Wszyscy podziwiali również jego sztukę życia. Rzeczywiście był w nim jakiś tajemniczy sekret; nie wiem, czy komuś udało się go zgłębić. To niezwykle opanowanie, wewnętrzny spokój, ogromny wdzięk osobisty, wielka kultura i umiejętność cieszenia się wszystkimi drobiazgami, nie zapominając, że to są tylko drobiazgi. Nieporównana harmonia jego osobowości, jakaś muzyczność we wszystkim, co robił. Zastanawiałem się wielokrotnie, zastanawiam się dotąd, co było dla niego źródłem tego porządku, tą najwyższą zasadą, której podporządkowane było jego życie. Wydaje mi się, że była to sprawa matematyki polskiej, że to było owo ostateczne kryterium, stały punkt odniesienia i nieustanny bodziec do działania. Tej sprawie poświęcił się bez reszty. Zawsze bronił interesów i dobrego imienia naszej matematyki. Robił to jak urodzony polityk. Jego zasług dla matematyki polskiej nie sposób przecenić. Wszyscy szanowaliśmy go i byliśmy mu wdzięczni za to, co dla nas zrobił. Nikt nie zrobiłby tego lepiej.

Sprawy matematyki nie pozostawiały mu zbyt wiele wolnego czasu; ten, którym dysponował, umiejętnie wykorzystywał na odpoczynek. Był zawsze odprężony, dlatego mógł się tak wszystkim cieszyć. Cieszył się podróżami, kontaktami z ludźmi, uczestnictwem w tradycji kulturalnej Europy, rozumiał ją zresztą bardzo szeroko.

Nie tak dawno opowiadał mi pięknie o swojej pierwszej podróży do Grecji, na kilka lat przed śmiercią. Przed laty, kiedy byliśmy razem w Paryżu na spacerze, zatrzymał mnie przed eleganckim sklepem z konfekcją męską przy avenue Kléber; stał parę minut przed wystawą; kiedy ruszyliśmy, powiedział: — Musiałem zobaczyć, co się teraz nosi — Kiedyś, raz jeden, zacytował mi po francusku Moliere. Wszystko to było naturalne, nie było w nim nic na pokaz, nic dla efektu; to był po prostu jego świat: Akropol, krawaty Diora i komedie Moliere — wszystko to, co jest doskonałe.

Potrafił zachować się swobodnie w każdej sytuacji, Kiedyś grupa młodych matematyków zagranicznych zaprosiła go na „przyjęcie” w pokoju hotelowym. Łatwo wyobrazić sobie, jak to wyglądało; stół nakryty gazetami, puszki sardynek otwierane scyzorykiem, dwa widelce na dwadzieścia osób... Profesor Kuratowski właśnie niedawno wrócił z Cambridge, gdzie — jak opowiadał rozbawiony — ulokowano go w Trinity College w bardzo skromnym i skąpo umeblowanym pokoju, który dopiero potem okazał się być zachowanym w pierwotnym stanie pokojem Newtona. Okazało się, że w tym zatłoczonym pokoju hotelowym czuł się również jak u siebie w domu.

Od 1970 roku prowadziliśmy wspólnie seminarium z topologii. Ostatnio przychodził na nie coraz rzadziej, mówił, że męczy go uważne słuchanie. W godzinach seminarium był jednak zawsze w Instytucie. W poniedziałek rano, przed posiedzeniem, chodziłem do niego — jak mówiliśmy — „po błogosławieństwo”.

Interesował się programem, cieszył się sukcesami moich uczniów, zawsze powtarzał: „Przecież to moi matematyczni wnukowie”. Od jakiegoś czasu mówił z przekorą „pańskie seminarium”, ja mówiłem zawsze „nasze seminarium”, nie poprawiał mnie, wiedział, że seminarium jest nasze. Udzielił mi również swojego „błogosławieństwa” przed ostatnim tegorocznym posiedzeniem, drugiego czerwca.

W ostatnich latach, z polecenia lekarzy, dużo spacerował. Mieszkał przy Kieleckiej, chodził Rakowiecką, czasami zaglądał do księgarni (skarżył mi się niedawno, że nie udało mu się

kupić „Wspomnień” Tatarkiewiczów), potem zwykle szedł na teren ogródków działkowych, często wracał z kwiatami. Widywaliśmy go: szedł zawsze wolno, nie spiesząc się, niekiedy z widocznym wysiłkiem. Używał laski.

Kiedy go spotykałem, zawsze nachodziła mnie absurdalna i natrętna myśl, że jest to ta sama laska, z którą siedzi, założywszy nogę na nogę, młody, silny, wspaniały, pierwszy z lewej w pierwszym rzędzie, na zdjęciu uczestników Pierwszej Międzynarodowej Konferencji Topologicznej.

Ryszard Engelking

*Przedruk „Wspomnienia o profesorze Kazimierzu Kuratowskim”
opublikowanego w tygodniku „Kultura” z 6 lipca 1980 r.*



Fot. ze zbiorów IM PAN